

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy. Oddział Rękopisów.
Zespół (fond) 73.
Archiwum Ostapa Ortwina

506. Opinie i polemiki między recenzentem N. Wysockim i autorką A. Kollias na temat jej książki „Zapolska”. Maszynopis [...]. Ponadto: powiadomienie na temat budowy nadbrzeżnych bali nads brzegiem rzeki Wisły oraz wycinki z gazet. 1932 (11).

STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE

№ 25

Відгуки і полеміка сміят речен-
ням Н. Вісочукки і автором
А. Юльяс з привідом і "Зар-
ровка" ("Запольська").
Машиннописні вітиски.

1932.

Львів.

Нарк.

Додаток: повіршення про бурів-
ництво проти поврнових ванів
на річці Нім берогою ріки
Вісли, а також газетні вирізки.

Орм. ?
н. ?

Візуалі, полеміка з приву-
дками Анелі Каллес, "Зайсь-
сека" ("Заробітк").

смакнужменті Віуґаєт.
1932

Лторн; 7а.

Лолів

м. м. л.

Бюро: толі розкриття про
Будівитачів проти нових
Ванів іду горішній берези
імі Вілі, а також газети
вирізи

K ł a m s t w a

p. Antoniego Wysockiego

do redaktora

"Wiadomości Literackich "

We L w o w i e 9. maja 1932.

Nie odzywałam się dotychczas mimo wszystkie kompetentne i niekompetentne głosy, jakie pojawiały się o mej książce pt. "Zapolska", i nie wszczynałabym modnej dziś zresztą polemiki na temat własnego tworu, odpowiedzieć jednak muszę p. Antoniemu Wysockiemu, który w nr. 433 "Wiadomości Literackich" zaatakował mnie osobiście.

Wprawdzie tenor wywodów p. Wysockiego mógłby mnie zwolnić od tego przykrego obowiązku, to jednak wedle aktualnej dziś bardziej niż kiedykolwiek maksymy "calumniare audacter, aliquid haeret" - nie mogę nad "wywodami" p. Wysockiego przejść do porządku -

P. Antoni Wysocki mieni się być przyjacielem Zapolskiej, a nie wie o tem, że Zapolska nigdy nie mieszkała ~~u~~ przy ul. Kurkowej, ani przy ul. Hoffmana, lecz po za rezydencją "w Skizie", która to willa została sprzedana w 1913 r. miała swe mieszkanie przy ul. Głowińskiego, a potem dwukrotnie zmieniła mieszkanie przy ul. Gołąba l. 7., a potem 15. i w tem drugim mieszkaniu przy ul. Gołąba l. 15. życie swe skończyła. Od jesieni roku 1915 do grudnia 1921. byłam jej codziennym gościem, nie spotykając tam p. Wysockiego, ani przyjaciół, których wymienia, a którzy zresztą w najcięższych chwilach jej długoletniej choroby opuścili ją tak, jak i rodzina, która teraz gorliwie za pośrednictwem p. Wysockiego upomina się o krzywdę, jaką autorce, "Moralności p. Dulskiej wyrządziłam, powtarzając za jej spowiedzią osobistą jej przeżycia. Píše p. Wysocki, że Zapolską mogła tylko widywać we Wieku Nowym, gdzie byłam korektorką. Jest to kłamstwo. Nie byłam korektorką Wieku Nowego, lecz od 1917 roku należałam do składu Redakcji tego dziennika, a 1911 do 1917 r. zamieszczałam tam

2"

recenzje z książek, z teatru i wystawy obrazów. Zapolską poznałam jeszcze w Krakowie, bywałam u niej, łączyły nas koleżeńskie stosunki, zamienione później we Lwowie w przyjaźń serdeczną, o czym świadczą choćby jej listy do mnie pisane, a z których ^{o ma} przytoczyłam w mojej książce "Zapolska". /Listy te są do wglądu w Muzeum zasłużonych Polek we Lwowie, którego kustoszka jest profesorowa Marja Bruchnalska.

Fałszując dalej prawdę, dowodzi p. Wysocki, że byłam poza stratosferą ówczesnego ~~literackiego~~ Lwowa. Nie chodziłam po kawiarniach i nie zawierałam nowych znajomości z literatami lwowskimi; ale w tym czasie teatry wystawiały moje sztuki, wyszło też w tym czasie w książkowym wydaniu właśnie we Lwowie kilka moich powieści - Gazeta Lwowska, i Kurjer Lwowski drukowały moje nowele, na łamach Gazety Porannej i Wieczornej, oraz Wieku Nowego często pojawiały się artykuły z moim podpisem. Przypominam też sobie, że kiedyś p. Wysocki urządzając we Lwowie jakąś wystawę teatralną, zwrócił się do mnie do Redakcji Wieku Nowego, którego byłam współredaktorką, po afisze moich kilku sztuk, grywanych w Krakowie, w Łodzi i we Lwowie i po plakietę moją, dłuta Ksawerego Dunikowskiego, oraz portret ^z mój, pędzla Antoniego Soldingera. Dowodzi to również, że tak bardzo przecież nie byłam poza stratosferą ~~literackiego~~ Lwowa, skoro dotarł do mnie bez trudu sam p. Antoni Wysocki.

Trudno! Nie "zawlokłam się na turnie", dostępne p. Wysockiemu. Pracowałam dziennikarsko i literacko, nie dbając o rozgłos. Lecz Lwów ~~nie~~leży w Czarnogórze i nie można znowu wypisywać takich kłamstw, jak to uczynił p. Wysocki w "Wiadomościach Literackich". Lwów literacki i nieliteracki, choć osobiście trzymałam się zawsze ^{na} w uboczu, zna mnie i wie o tem, że łączyła mnie z Zapolską długoletnia przyjaźń i, że w tej przyjaźni wytrwałam, aż do jej śmierci.

Toteż powiedzenie p. Wysockiego, że byłam tylko korektorką Wieku Nowego, że Zapolska była mi obcą, że znałam tylko jej życie z plotek, jakie o niej kursowały - i że z tych plotek zrobiłam ramotę na sprzedaż - uważam za najzwyczajszą - chyba na sensację obliczoną - potwarz.

Aniela Kallas

Wojna z dokumentami.

Niedawno mieliśmy możliwość obserwowania w prasie polskiej jednorodnej prawie krucjaty przeciwko pozbawionej wartości literackiej, zresztą bezpretensjonalnej książce p. Anieli Kallas o Zapolskiej. * Książka ta, daleka od jakiegokolwiek finezji psychologicznej, rozbrajająco ^{na}wna na wielu stronnicach, zwłaszcza wtedy, gdy autorka, dawna przyjaciółka Zapolskiej, próbuje ją niefortunnie rehabilitować, nie umiając jednak przeciwstawić niezawodnej rzeczywistości sankcyj wyższych, posiada mimo to niepospolita zaletę; jest dokumentem prawdy. I właśnie kampania prasy przeciw powieści biograficznej p. Kallas jest krucjatą nie przeciw traktowaniu trudnego tematu, jako terenu banalnych miejscami sensacyj erotycznych, nie przeciw bezkrytycznej symplifikacji zagadnienia życia Zapolskiej, lecz przeciw dokumentom prawdy. Albowiem powieść p. Kallas zawiera przede wszystkim dokumenty niesfałszowanej, najautentyczniejszej prawdy o życiu Zapolskiej, bezcenny materiał pomocniczy dla przyszłego historyka literatury i jej monografisty, który nie będzie znał tej ciekawej epoki a stanie przed tragicznie zagadkowym dylematem stosunku, pozornie może nieproporcjonalnego, między wielką twórczością a osobistością Zapolskiej.

Twórczość Zapolskiej kipiała pasją ekshibicjonizmu, bezwzględnej i inkwizytorskiej dla zakłamanej kultury mieszczańskiej, pasją szukającą najgłębszych korzeni jej moralnej nicości, nie cofającą się nawet przed pokazaniem najbardziej niecenzuralnych i skompromitowanych dziedzin tej kultury. Ale takim samym nałogiem ekshibicjonizmu było życie prywatne Zapolskiej, którego historję kreśli w swej książce p. Kallas. W życiu tem jakże niewspółczesnym, tej najwspółczesniejszej, wojującej naturalistki polskiej, mającej w sobie tyle rysów pokrewnych z miłosnym maksymalizmem rzymskiej Messaliny lub cudowną żywiołowością niektórych kobiet romantycznych, krył się mimo wszystko patos samoofiarnictwa na rzecz twórczości. Zapolska bowiem pragnęła poznać każdy odcinek życia, który był dla niej tworzywem, bezpośrednio, stawała wobec niego twarzą w twarz nawet wtedy gdy pozycja społeczna kobiety

wykluczała taką możliwość /jej wizyta w celu literackich studjów w lwowskim lupanarze w towarzystwie jednego z miejscowych literatów, którą p.Kallas opisuje szczegółowe w swojej powieści/,wierzyła tylko autopsji,literacką stylizację i improwizację przekreślała zgóry nie tylko w imię naturalistycznej doktryny,lecz również pod naciskiem osobistej psychotwórczej konieczności. Eksperymentowała zaciekle na sobie samej.Życie jej stawało się wtedy jedynie skromnym marginesem jej twórczości,dziedzina drugoplanową,heteronomiczną.Wyższość twórczości nad życiem,jak nie u niejednego twórcy wysokiej klasy,sprawiała,że nie liczyła się zupełnie z echami swoich ekscentrycznych czynów w środowisku własnym i współczesństwie.Była wogóle naturą amoralną, nie mającą poczucia ani moralności absolutnej ani osobistej,jakkolwiek cała jej twórczość wyrastała właśnie paradoksalnie z nienasyconego nigdy głodu nowej moralności,tak trudnej do spełnienia w ramach zmechanizowanej moralności społecznej. Ale historii wielkich twórców niepodobna rozpatrywać z tablicą katechizmowej moralności w rękę. Byłaby to bowiem zawodna mapa orientacyjna,na której prawdziwa topografia zawiłej duszy twórczej zmalałaby do jednego wymiaru,może najmniej istotnego.Wielka twórczość rehabilituje zawsze człowieka,również wtedy,gdy jej przedstawiciel nie należy do typów twórców "wiecznych", z tej prostej przyczyny,że człowiek staje się z biegiem czasu niemym dodatkiem do niej,bezcieleśnym symbolem jej bytu,a ona tylko pozostaje jedyną suwerenną rzeczywistością. Trudno **orzec**,czy przerost płciowy u Zapolskiej miał swoje źródło w psychofizycznej aberracji,jak głosiła wyrocznie plotka literacka,czy jest on wogóle organiczną cechą niepospolitych twórców,na co wskazywałyby żywoty wielu znakomitych pisarzy i artystów.Ale nie da się zaprzeczyć,że mamy tu do czynienia z faktem,że ta długa,niepokojąco długa lista mężczyzn którzy przeszli przez życie Zapolskiej,że ta wierna kronika jej miłosnego życia,jaka jest powieść biograficzna p.Kallas,robiąca miejscami wrażenie najbardziej sensacyjnego filmu,nie ma nic wspólnego z legendą.

I jeszcze jedno. Rola tego niemal demonicznego seksualizmu Zapolskiej w jej twórczości nie jest bynajmniej podrzędna.Wystarczy się wczytać w jej problematykę.Ośrodkiem jej jest właśnie bezustannie,monomaniicznie,w licznych odmianach i powtórzeniach podkreślania antynomja płci. Nikt przed Przybyszewskim nie zaakcentował równie mocno w literatu-

rze polskiej dramatu tej antynomji. Tylko, że Przybyszewski całe to zagadnienie przesunął na platformę metafizyczną, rozwijając je na podkładzie swoistej teorii kosmogonicznej. Zapolska zaś traktowała je jako zjawisko społeczne. Czy przyszły biografista Zapolskiej będzie mógł pominąć jej osobistość, historję jej życia prywatnego? Wątpię! Sfałszowałby bowiem jej twórczość. Wszak ta osobistość wścielała się w mnóstwo literackich sobowtórów. Pominiecie jej byłoby nie tylko niedocenieniem tajemnicy ich pochodności, źródeł artyzmu i ważnego problemu modelu literackiego, ale uczyniłoby tę twórczość abstrakcyjną, oderwaną od macierzystej gleby: - tworzącego człowieka. Zapolska należy zatem do rodzaju twórców których autonomia artysty i człowieka nie istnieją. Jakkolwiek prymat jej twórczości nad życiem jest niewątpliwym, trudno sobie wyobrazić możliwość wyeliminowania tego życia z orbity badania.

~~Ok~~
Cykl wizerunki Słynnych Kobiet i Mężów' A. Kallas. Zapolska. Powieść biograficzna. Okładkę tytułową wykonał F. Ludwig. Stanisławów "Renaissance" /1931/, str. 224.

O Zapolska

Do redaktora

"Wiadomości Literackich"

W związku z artykułem p.J.E.Płomieńskiego w nr.432."Wiadomości Literackich" o "powieści biograficznej" p.A.Kallas pt."Zapolska" czuję się w obowiązku jako przez wiele lat przyjaciel Zapolskiej i jej męża znakomitego malarza Stanisława Janowskiego stwierdzić, że "dokumenty najautentyczniejszej prawdy" zawarte w tej książce są z gruntu fałszywe. W okresie zamieszkiwania p.Gabryeli we Lwowie, p.Kallas nie bywała w jej domu. Nie była z nią w żadnych towarzystwach a tembardziej przyjacielskich stosunkach. Nie bywała ani w mieszkaniu przy ul.Kurkowej ,ani w willi "Skiz" ani w mieszkaniu przy ul.Opata Hoffmana, gdzie wielka autorka zmarła. Panna Kallas jako korektorka dziennika Wiek Nowy, który drukował kilka fejttonów Zapolskiej "Przez moje okno" - mogła widywać się w redakcji - wtedy przelotnie kilka słów z nią zamienić, lecz cała znajomość ta na tem się kończyła. Wogóle p.Kallas była poza nawiasem stratosfery ówczesnego Lwowa, i pisarze jak Krechowiecki, Kasprowicz, Staff, Wasilewski, Makuszyński, Jedlicz, ci czy inni przez nią wspomniani równie jak Zapolska byli jej obcy. Ale od czegoż plotki? A od plotek o "przeroście" namiętności, erotyzmu i perwerzji, nie brakło powodu, bo Zapolska dla poży czy przez żart bawiła się czasem wygadywaniem okropności, lubiła przerażać dosadnością wyrażeń, chociaż erotyzm grał w jej życiu nie większą rolę, niż w życiu każdej innej kobiety. Nie przewidziała, że kiedyś po jej śmierci echa tej konwersacyjnej samowoli posłużą nieznajomej osobie do sklecenia o niej brudnej ramoty na sprzedaż. Swego czasu hr.Stanisław Tarnowski powiedział o powieści Bałuckiego "Pańskie Dziady", mającej na celu ośmieszenie krakowskiej arystokracji: "Bałucki patrzył do naszych salonów z przedpokoju przez dziurkę od klucza". Jest też na analogiczny temat dowcipne francuskie powiedzonko o życiorysie ks.Talleyrand -Perigord, napisanym przez lokaja.

7

Mówi ono o czerpaniu materiału pisarskiego...z przedpokoju.
Książka p.Kallas jako rzekomy "dokument historyczny" narzuca podobne
spozstrzeżenie.

Antoni Wysocki.

BUDOWA WAŁÓW NA GÓRNEJ WISŁE

/ od Oświęcimia do Zawichostu ./

Potrzeba obwałowania Wisły i jej dopływów wynika z konieczności ochrony nizin nadwiślańskich przed powodzią. Ma to szczególne znaczenie zwłaszcza w górnym biegu Wisły. W okresie od 1813 r. do 1934 r. a więc w ciągu 121 lat powodzie miały miejsce 29 razy, t.j. powtarzały się co 4 - 5 lat. Jedna powódź w 1934 r. objęła obszar 2487 km² dorzecza Wisły i wyrządziła szkody na około 75 mil. zł.

Usiłowania ludności w kierunku zabezpieczenia się przed klęskami wylewów datują się już od kilku stuleci; wały były wznoszone przez nadbrzeżną ludność, która samorzutnie wykonywała je celem ochrony mienia. Np. wały pierwotne wzdłuż górnej Wisły były budowane w XIV w. za króla Kazimierza Wielkiego.

Systematyczne prace na większą skalę przy obwałowaniu górnej Wisły w granicach b. zaboru austriackiego datują się od 1884 r. Do końca wojny światowej wybudowano około 730 km wałów Wisły i wałów wstecznych na dopływach. Mimo to nie zapobieżono powodziom bowiem nie wykonano szeregu koniecznych robót. Do najważniejszych nie wykonanych przez władze austriackie robót należy obwałowanie Wisły i dopływów na odcinku Oświęcim - Kraków.

Władze rosyjskie prowadziły roboty wałowe w minimalnym rozmiarze i pozostawiły je w stanie najwyższego zaniedbania.

Konieczność budowy wałów wypłynęła natychmiast po odzyskaniu Niepodległości czego wyrazem jest m.in. uchwalenie już w kwietniu 1919 r. ustawy o obwałowaniu lewego brzegu Wisły od ujścia potoku Kościelnickiego do Zawichostu.

Ze względu na istniejące stale trudności finansowe tempo prac

nad obwałowaniem Wisły do 1936 r. stale szwankowało. Wobec fragmentarycznego tylko wykonania robót wałowych i niepołączenia ich w jedną całość stale wynikały olbrzymie straty w okresach powodzi. Koniecznym stało się ukończenie robót rozpoczętych w różnych miejscach i w różnym czasie i związania ich w jedną całość. W tym celu Ministerstwo Rolnictwa i R.R. włączyło do 4-letniego programu inwestycyjnego wykończenie budowy 3-ch kompleksów wałów. Jeden kompleks stanowią roboty wałowe na odcinku od Oświęcimia do Krakowa. Drugi kompleks - obwałowanie lewego brzegu Wisły wzdłuż byłej granicy austriacko - rosyjskiej od potoku Kościelnickiego do Zawichostu. Trzeci kompleks - podwyższenie wałów prawobrzeżnych Wisły i wałów wstecznych w woj. lwowskim i krakowskim. Wymienione wyżej dwa ostatnie kompleksy są położone w centralnym okręgu przemysłowym.

Na początku 1937 r. Ministerstwo Rolnictwa i R.R. zawarło z różnymi firmami umowy na warunkach kredytowych, oddając znaczną część wyżej wymienionych robót do wykonania. Ogólna długość wałów nad Wisłą, oddanych do wykonania przedsiębiorcom, wynosi 110 km, wałów wstecznych wzdłuż dopływów Wisły - 60 km, razem 170 km wałów o kubaturze około 6.mil. m³. Nadto oddano przedsiębiorcom wykonanie regulacji bocznych dopływów o kubaturze 500 tys. m³ oraz budowę kilkadziesiątu śluz wałowych i innych obiektów betonowych o łącznej kubaturze około 20 tys. m³ betonu. Z wymienionych wyżej robót około 75% przypada na odcinek od Oświęcimia do Krakowa, pozostałe 25% na dwa pozostałe kompleksy położone w okręgu centralnym. W 1937 r. wykonane będzie 60% wymienionych wyżej robót, a w 1938 po-

9

została ilość. Wartość oddanych w przedsiębiorstwo robót wynosi około 16 milj. zł.

Przewiduje się, że całość robót wałowych na górnej Wiśle wykonana będzie w ciągu najbliższych 3-ich lat, tak aby wszystkie niziny nadwiślańskie od Oświęcimia do Zawichostu były chronione całkowicie przed powodzią.

Na odcinku od Oświęcimia do Krakowa roboty prowadzone są w powiatach bielskim, wadowickim oraz w m. Krakowie. Zakończenie tych robót ochroni przed powodzią 16.500 ha gruntów, w tym część gruntów położona w granicach m. Krakowa.

Wykonanie robót na odcinku od potoku Kościelnickiego do Zawichostu ochroni przed powodzią obszar około 32.000 ha gruntów.

Zakończenie robót wałowych na górnej Wiśle będzie wymagało sumy około 32 mil. zł łącznie z kosztami robót wykonanych w roku bieżącym.

Prowadzone roboty wałowe, niezależnie od ich znaczenia gospodarczego jako ochrony od powodzi, umożliwiają zatrudnienie około 7.000 robotników oraz około 1.500 furmanek. Większość robotników jest angażowana z pośród zarejestrowanych bezrobotnych.

Głos polityka francuskiego.

W związku z ostatnimi wypadkami w Polsce wybitny polityk francuski z obozu radykalnego, podsekretarz stanu w ministerjum spraw zagranicznych w gabinecie p. Painlewego, p. Aimé Berthod, nadsyła nam uwagi poniższe. (A.)

Historja kiedyś osądzi, jak bardzo polityka zagraniczna Francji od czasów wielkiej wojny i to zarówno pod rządami kartelu lewicowego, jak i bloku narodowego, przejęta była troską o utrwalenie niepodległości Polski. Troska ta tylokrotnie wkiłała stosunki nasze ze sprzymierzeńcami z tamtej strony kanału — nie mówiąc już o przeciwnikach — i utrudniała rokowania nad paktem bezpieczeństwa, na konferencjach w Genui i w Locarno. Jasne jest dla całej naszej dyplomacji, że Wisła posiada dla nas znaczenie nie mniejsze, niż Ren.

Niech więc nikogo nie dziwi, że francuzi z wielkim niepokojem przyjęli wiadomość o tych poważnych zaburzeniach, które rozgrywały się świeżo w Warszawie. Polska wie chyba dobrze, że nie może sobie pozwolić na walki wewnętrzne. Niedawno już same trudności natury finansowej, przeżywane przez Polskę, wywoływały w prasie niemieckiej projekty tak zwanej „rektyfikacji“ granic, która nie oszczędziłaby oczywiście ani korytarza pomorskiego, ani Górnego Śląska. O ileż wymowniejszych argumentów mogłaby wrogom Polski dostarczyć wojna domowa? Ostatnio dochodzą nas wieści, że spokój jest przywrócony i że kraj na nowo podejmuje wysiłki swe pokojowe nad uzdrowieniem stosunków gospodarczych. To odpowiada gorącym pragnieniom wszystkich francuzów.

Nie do nas, republikan, bezwzględnie przywiązanych do praworządności, należy osądzenie z naszego punktu widzenia wypadków warszawskich; nie mamy zresztą dostatecznego materiału rzeczowego po temu. Raz jeszcze powtarzamy wszakże z największym naciskiem, że zbyt wiele niebezpieczeństw czyha na Polskę, ażeby synowie jej mogli myśleć o waśniach wewnętrznych, zamiast zg odnie pracować dla dobra Rzeczypospolitej.

Aimé Berthod.

Pod światło.

Mieńszewizm i bolszewizm.

Jak większość warstwy inteligencji mojego pokolenia, jestem zatruty książkami. Od dziecka przywykliśmy zakopywać się w zadrukowanym papierze. Nic też dziwnego, że, jak pijak w dni zgrozy do wódki, tak ja w ostatnich dniach — oddalony od Warszawy, zbiegiem okoliczności ponadto osamotniony — rzuciłem się do moich pólek z książkami. Zapomnieć!!!

Otwieram Taine'a: „La revolution“. Na pierwszej stronie pierwsze zdanie:

„Nocą z d. 14 na 15 lipca 1789 r. książę de la Rochefoucauld-Liancourt kazał obudzić Ludwika XVI, aby mu powiedzieć o wzięciu Bastylji. — Więc to bunt? — zapytał król. — Najjaśniejszy panie — odrzekł książę: — to jest rewolucja.“

Oto mamy pierwszy wniosek, pierwszą naukę historyczną: najwyższa władza zazwyczaj nie zdaje sobie sprawy z wagi wydarzeń. To, co już jest zmianą ustroju, bierze tylko za epizod.

Nie inaczej dzieje się jednak i z tymi, którzy zmianę ustroju wywołują. Najczęściej czyn swój uważają za sposób przyjścia do władzy. Najbliższe dni po zwycięstwie uświadamiają im tragizm położenia: sposób ich przyjścia do władzy był jednocześnie obaleniem z a s a d y w ł a d z y. Każdej władzy, więc i ich władzy.

Taki tragizm przeżyli ci, co zdobywali Bastylję, taki tragizm przeżył w r. 1917 Kiereński.

Sięgam po trzeci tom pamiętników Paleologue'a: „La Russie des tzars“. Maurycy Paleologue, ambasador francuski przy carze Mikołaju II-im, przeżył w Petersburgu lata wielkiej wojny, aż do wybuchu rewolucji mieńszewickiej; przypatrywał się zbieraniu fali rewolucyjnej, notował dzień za dniem nastroje, pomruki i groźby. Z pamiętników Paleologue'a wynika niezbicie, że Kiereński chciał ocalić Rosję wywróceniem

O PRAWDZIE KOŁĘD

Cóż ci rozum powiada,
Cóż — ? —
zamrze słońce i ziemia; zagłada
i koniec już!

Serce mówi: człowiecza tęsknota
przenigdy zamrzeć nie może —
lecz jak legenda złota
ponad słońca, ponad gwiazdy roz-
gorze.

Czy jest ziemia, czy niema — ano
cóż to ducha obchodzi —?
idzie drogą nieznaną, ale w sobie
doznana;
równocześnie się w wszystkich swia-
tach rodzi.

Już się stawa, już pełni legenda
człowieczego odkupienia;
wypieśniona, wygrana kołęda
Bożego Narodzenia!

Emil Zagadłowicz

Z LEGEND WSPÓŁCZESNEJ POLSKI

TALIZMANY

W pierwszej chwili po półtorarocznej prawie rozłące kochankom brakło słów na wyrażenie swoich uczuć.

Stali, trzymając się za ręce. Pani Drożynnie po twarzy płynęły łzy. Dolar nie starał się zapanować nad wzruszeniem, które objawiało się u niego w lekkich drgawkach ust. Wiedział, że w zacisznym buduarze kochanki nie wysledzą go niczyje ciekawe oczy i uległ odruchowi serca.

Pani Drożynna umiała to ocenić. Jej Dolar nie wzruszał się nigdy. Duszę miał twardą jak cegła z soboru na Saskim placu. Jeśli więc drgały mu usta, to świadczyło to o głębokiej prawdziwej miłości.

Wreszcie z zaciśniętego wzruszeniem gardła wyrwał się jej szept:
— Jesteś... Jesteś...

Dolar ucałował ją w załzawione oczy, potem podprowadził do światła.

— Nic się nie zmieniłaś, powiem nawet, że wypiękniałaś.

Uśmiechnęła się radośnie. Rzeczywiście uczucie szczęścia starło jej z twarzy ślady przebytych rozczarowań i cierpień. Podobne drogo-cennym szafirom oczy znowu pło-nęły dumą i wiarą w życie... Włosy miała ostrzyżone a la garçon w trójkąt na karku według ostatniej mody, szyję przystrojoną w potrójny sznur pereł, suknie z prawdziwych starych koronek, które uwydatniały białosć jej mocnych, pełnych kształtów.

— I ty się nie zmieniłaś — roze- miała się, wyciągając do Dolara ręce. Dolar już ochłoniął z pierwszego wrażenia i panował nad sobą, więc słowa kochanki nie wywarły na nim wrażenia.

— Wiem, że się nie zmieniłem — odparł krótko i nawet wzruszył nie- znaczne ramionami, jak gdyby dzi- wiąc się, że można tracić czas, na mó- wienie tak banalnych rzeczy.

Nabił fajkę navy-cu'ém, puścił kłąb dymu i rozejrzał się po pokoju.

— Zawsze u ciebie miło.

Buduar był urządzony z niesłycha- nym przepychem i dzięki ciężkim por- tieror., które zasłaniały okna i tłumy- ły gwar uliczny, tak zaciszny, że miało się w nim wrażenie zupełnego odci-ęcia od świata. W rogu na niewielkim stoliku, z malachitowym blatem, wzdłuż którego biegła misterna bron- zowa koronka, stał wielki szczerozło- ty puhar w kształcie rogu obfitości. Dolar zbliżył się do stolika z uśmie- chem, zanurzył dłoń w puharze i za- częł przesypywać małe jedwabne wo- reczki, któremi róg obfitości był wy- pełniony. W każdym z tych worecz- ków znajdowała się symboliczna szczypta jakiegoś towaru.

Pani Drożynna przyglądała mu się wciąż pełnymi zachwytu oczami. Szczęście jej było tak wielkie, że chwilami ogarniał ją jeszcze lęk, czy wszystko nie jest snem. Gwałtownym ruchem zarzuciła Dolarowi ręce na czoło i wpiła mu się ustami w usta, tu- ląc się do jego muskularnej postaci.

Ale Dolar odsunął ją zlekka.

— Wszystko o swojej porze — ode- zwał się sentencjonalnie, ponieważ był człowiekiem zasad i ściśle się sto- sował do wskazań biblii. Opowiadaj, co słychać

— Tęsknią do dyktatora — odparła pani Drożynna.

Dolar roześmiał się hałaśliwie.

— No to już zaspokoila się ich tę- sknota. Jestem!

Tak! — wykrzyknęła z uniesieniem



Rys. Wł Skoczylas

JEZU MALUSIENKI...

Jezus malusienki, leży nagusienki,
Placze z zimna; nie dała mu Matula sukienki.
Bo ubogą była: rąbek z głowy zdjęła,
W który dziecię owinawszy, siankiem je okryła.

Jezu malusienki, drzący całusienki,
Dzieci polskie płaczą z zimna: nie mają sukienki.

Płaczą polskie dziatki: oto — ojce, matki —
Przetrwoniłim urodzajnych siedmiu lat dostatki.

Rąbek zastawili, sianko przetańczyli,
A Dzieciatko, niebożatko, Jezus mały kwili.

Jezus obnażony, w miljon pomnożony:
W miljon dzieci, co o pomoc płaczą z każdej strony.

Stoim w srogiej męce, załamujemy ręce:
Nie możemy się stać podobni Najświętszej Matulce!

Bośmy przetrwoniłi, bośmy przetańczyli
Rąbek z siankiem, a Dzieciatko: miljon dzieci kwili!

Iść-by nam na szaniec, a tu zły Szataniec
Wyuzdanie ślepych gna nas w potępieńczy taniec.

Jakże serca boją, że nam naglą dola
Słodka wolność odzyskana przerosła swawola!

Jezu malusienki, użycz nam swej ręki,
Byśmy mogli wyniść cało z koła srogiej męki.

Jezusie, Dziecino, swą Bożą rączyną
Rozpal w sercach naszych pożar, w którym chwasty zginą.

Jezu, Ukochanie, usłysz to wołanie:
Jezul Jezul Jezu Mocny! daj opamiętanie!

Józef Ruffer

WIERSZ REYMONTA O ŚMIERCI

Pani Reymontowa znalazła w jednym ze starych notaików Wł. St. Reymonta następujący wiersz, pisany przezeń i jego ręką, z datą 5.7.1889

Kochałem wiele, cierpiałem wiele
Więc odpoczynek mi się należy,
Najpierw już w trumnie, w naszym kościele
Później wśród mogił rubieży.

A ksiądz święconą skropi mnie rosą
I zmówi psalmy pokutne,
I na mogiłki niech zaraz niosą,
Pod brzozy placząc, smutne.

W trumnę sosnową czystą i białą
Niechaj położą me ciało
I stary dziadek z babą zgrzybiałą —
Niech cztery świece zapala.

5.7.1889

Wł. St. Reymont

Z PUSZCZY JODŁOWEJ ŻEROMSKIEGO

(Stefan Żeromski, Puszcza Jodłowa, Warszawa-Kraków, Wydawnictwo J. Mortkowicza, 1926, Str. 31).
POCZĄTKOWE I KONCOWE USTĘPY

W uszach moich trwa szum twój, le- sie dzieciństwa i młodości, choć tyle już lat nie dano mi go słyszeć na ja- wiał! Przebiegam w marzeniu wynio- sie góry — Łysiec, Łysiec, Strawcza- nę, Bukową, Klonową, Stróżną, — gó- ry moje domowe — Radostową i Ka- mień, — oraz wszystkie dalekie sio- strzyce. Nie ja to już, człowiek dzisiej- szy, wciągam zdrowymi płucami ta- meczne powietrze, kryształ niewi- dzialny, niezmiernie, nieskazitelne, przeczyste dobro, — zimne, nieskala- ne oddechem, zgnilizną, brudem, py- lem, — lecz ktoś inny, kogo już daw- no niema, młodzieniec, który niegdys w mem jestestwie przebywał. Nieraz mi się wydaje, że go wcale nie było, że to poprostu jedna ze zmyślonych fi- gur, które wynajdywać w nicości, tworzyć kształtować i pokazywać lu- dziom zapomocą pisanimy było moja- manja od dzieciństwa, — że to Rafał,

Żyj wiecznie, świętnico, ogrodzie li- lij, serce lasów! Przeminiły nad tobą czasy ziele, złane ludzką krwią. Cią- gną inne, inne. Lecz ktoś może wie- dzieć, czy z plewienia ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekierka- mi, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu, lub czy- jęgoś niezbędnego zysku. Jakiebądź byłoby prawo, czyjejkolwiekby było, do tych przyszłych barbarzwców, po- przez wszystkie czasy, wołam z krzy- kiem: nie pozwalam! Puszcza królews- ka, księżęca, biskupia, świętokrzy- ska, chłopska ma zostać na wieki wie- ków, jako las nietykalny, siedlisko bo- żyscow starych, po którym święty je- leń chodzi, jako ucieczka anachore- tów, wielki oddech ziemi i pieśń wiecz- ności! Puszcza jest niczyja, nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno boża, świę- ta!

Stefan Żeromski

pani Drożynna. — Czyż może być lep- szy dyktator od ciebie. Ty jeden masz dzisiaj prawdziwy rząd dusz w Polsce.

— I ja tylko mogę sięgnąć po dyk- taturę bez obawy bratobójczej walki.

— Bo masz siłę moralną — odparła pani Drożynna, głaszcząc pieszczotli-

wie Dolara po żylastej i kościstej dło- ni. Dla ciebie każdy się zdobędzie na ustępstwa i będzie się starał zrozumieć i uszanować innych.

— Wiem — odparł krótko Dolar, który nie ulegał nigdy sugestji pochlebstwa.

— A beniaminek bardzo ci doku- czał? — zapytał po chwili. („benjamin- kiem" pani Drożynna i Dolar nazywali ironicznie złotego).

— Nieznośny smarkacz! — wykrzy- knęła z odrazą. — Pojęcia nie masz, jakie to było aroganckie.

NOCTURN C-MOL CHOPINA

Stanoły gwiazdy świetlane —
Wi lkie, tajemne milczenie
oparło się zadumane
o nieruchome skrzydła wiatraka,
zamyśnione przysiadły mgły i cisza taka,
że słychać nabożeństwo cienie
wilgotnych nitek babiego lata:
świat modlił się do wszechświata.

Milczenia hymn wyzwolony
w gwiezdnych się szlakach kołysze,
jakoby potężne dzwony!
roztraca drogi mlecznej przestrzenie,
sam niby błędna gwiazda mknąca
w przeczaczeniu
świata wszechświata maci cisze,
a napiwszy się z źródeł wszechmocy,
wraca zakłętą w nieśną noc.

Błądzi polami pieśń — dusza,
w wierzbach przydrożnych zawodzi,
kreśli na stawach porusza,
tęskna jak opuszczone kochanie,

co ni gwiazdom, ni ziemi skarży swe płkanie
pod przybył upiśnię — hodzi,
aż wraca w żalu nieutulona
w święte milczenia ramiona.

W. Wrodek-Ślęk

— Wiem, wiem — widywałem go jak hulaka za granicą.

I Dolar nagle zaniósł się od śmiechu.

— Przypomniało ci się coś zabawnego? — zapytała pani Drożynna.

— Tak, myślałem, jak beniaminek hulak zagranicą. Strasznie był dumny, że tanio jadał obiady. Nie wiedział tylko, że ja do każdego obiadu dopła- całem w sekrecie dwa albo trzy razy tyle. Gdy nadeży wychodził z resta- uracji, wtedy do mnie kelnerzy biegli z rachunkami.

Niezrażona zasadą kochanka, że wszystko ma swój czas, pani Drożynna znów mu zarzuciła ręce na szyję.

— I dlatego znów możemy być ra- zem. O, najdroższy, ty jesteś geniusz.

— Wiem — odparł krótko Dolar.

— Nie uwierzysz, jak mi ciężko by- ło bez ciebie — ciągnęła namiętnym szeptem pani Drożynna.

— Jakoś radziłaś sobie.

— Radziłam, musiałam sobie radzić, ale ty mnie otoczyłeś takim przepychem, że gdy później zostałam sama i trzeba było nieraz tego czy owego so- bie odmówić, rozpacz mnie ogarniała.

— Nessum maggior dolore, che ricor- darsi dal tempo felice nella miseria, zadeklamował Dolar.

— Tak, tak, niema większego bólu, niż przypominać sobie w dniach mi- zerni o dolarze — powtórzyła pani Dro- żyzna, która swoiście tłumaczyła sobie Dantego na język polski.

— I pewno obawiałaś się, żeśmy się już rozstali na zawsze.

— Nie.

Dolar spojrział z pewnym niedowie- rzaniem na kochankę.

— Wierzyłaś, że wrócę?

— Wierzyłam w swój talizman.

Dolar uśmiechnął się i pokiwał gło- wą.

Pani Drożynna podeszła do kosztow- nego staroświeckiego biurka, otwo- rzyła jedną ze skrytek i wydobyła z niej małe złote pudełeczko z wrytym na pokrywce napisem „Zdobyłce so- cjalne". W pudełeczku znajdowała się wyrzeźbiona z kości słoniowej figu- ryńka, przedstawiająca robotnika z założonymi rękami. Miniaturowa rzeź- ba była prawdziwym arcydziełem wyrazu. Widziało się odrazu, że przedstawia człowieka, który nic ro- bić nie chce

— W najcięższych chwilach zwąt- pienia — mówiła pani Drożynna — wpatrywałam się w ten talizman i to mi przywracało wiarę w przyszłość.

— Wiem — odparł Dolar — bo ma- giczna moc tego talizmanu jest wielka. Ale, żeby był naprawdę niezawodny, trzeba go uzupełnić innym.

Po tych słowach Dolar wyjął z kies- zeni niewielkie złote pudełeczko, z wrytym na pokrywce napisem „Święte tradycje" Pani Drożynna z ciekawością otworzyła pudełeczko i wykrzyknęła z podziwu. W pude- łeczku znajdowała się wyrzeźbiona z kości słoniowej figuryńka, przedsta- wiająca szlachcica w kontuszu z bez- myślnym uśmiechem na twarzy i opu- szczonymi rękami. Miniaturowa rzeź- ba była prawdziwym arcydziełem wy- razu. Widziało się, że przedstawia człowieka, który chce, żeby za niego myślano i wszystko zrobiono.

— Te dwa talizmany dadzą nam si- łą — odezwał się Dolar, uderzając kościstą pięścią w poręcz kanapy. A teraz wypijmy za szczęśliwe spotka- nie.

I odkorkował butelkę szampana, która stała na stoliku.

Wł. Perzyński

**W TĘSKNOCIE
ZA POLSKIM ANIOŁEM**

Raz po raz, zarówno dawniej jak i obecnie, spędzamy święta Bożego Narodzenia w tęsknocie za polskim aniołem.

W tylu mieszkaniach, bogatych czy skromnych, na ziemiach całej zjednoczonej Polski, zabłyśnie dziś choinka; a ze szczytu wszystkich tych strojnych i barwnych, jarzących się światłem choinek, patrzeć na nas będzie postać obcego nam, niemieckiego anioła, wykonanego na polski sposób kartonie w ordynarnej zwyczaj chromo-litografii. Dziś znowu jak rok temu, jak dawniej, jak za lat naszych dziecięcych. Wszystko wokół nas uległo zmianie, to na lepsze, tamto na gorsze, tylko ta postać niemieckiego anioła króluje nad nami niezmiennie, trwa wiecznie. Jak złośliwy jakiś symbol, jakgdyby znak widomy kulturalnej naszej od obcych zależności, własnego ubóstwa, własnej niemocy i niedoświadczenia!

Więc obudzić się dziś musi w każdym sercu, które chociażby na głos koledy, na lat dawnych wspomnienie i na widok rozjaśnionych twarzątek dziecięcych, żywej i gorącej zabije, serdeczna za polskim, własnym aniołem tęsknota. I zmarszczyć się może frasobliwie czoło niejednego, kiedy spojrzy na ściany mieszkania, gdzie widać Świętych Pańskich wizerunki, obrazy Męki Pańskiej i Madonny, Królowej Polskiej Korony, gdyż obraz te i wizerunki, to albo niemieckie, albo i licho najczęściej wykonane, barwne reprodukcje klasycznych arcydzieł, albo też fabryczne kopie czy przykre dla oka oleodruki z dzieł takich niemieckich malarzy religijnych, jak Edouard von Gebhardt, Gabriel v. Max, Herman Kaulbach, Fritz von Uhde, Ludwig Dettmann, Fritz August von Kaulbach, że pomnę wszystkich innych, pomniejszych obce miernoty, którym na imię jest legion.

Nie chcę tu bynajmniej pod wpływem ciasnego jakiegoś szowinizmu pomniejszać znaczenia sztuki niemieckiej i jej wartości dla kultury, nie chcę negować zasług wymienionych powyżej malarzy, bo zapisała je już w sprawiedliwej formie, na kartach swej księgi, historia sztuki. Pragnę tylko przy okazji świąt uroczystych z tradycją narodową, bezpodstępnie i silnie związaną, przypomnieć i uświadomić nam wszystkim, że dla najkulturowiejszych i najwznieśliwszych naszych uczuć nie zdołaliśmy dotąd w polskiej plastyce znaleźć odpowiedniego wyrazu, że nowoczesna polska grafika religijna wcale zdaje się nie istnieć, że te kompozycje religijne naszych artystów, które sporadycznie czasem powstawały i powstają, są nam zupełnie nieznane, że w naszej kulturze dnia codziennego żadnej zgody nie odgrywają roli.

Kto kocha — widzieć chce choć cień postaci i tak się kocha Matkę—Ojca—braci, Kochankę — Boga nawet... więc mi smutno,

Ze mazowieckie ani jedno płótno Nie jest sztandarem sztuce... (C. Norwid).

Słusznie tedy żali się poeta, że w Polsce „świętych figury patronów bez wyrazu”, a przynajmniej bez własnego, zdecydowanie swojskiego wyrazu, gdyż przez to popadamy w niezwykłą silną zależność duchową od obcych. Cała dziedzina życia religijnego leży w ten sposób zupełnie u nas odlego, lud nasz karmi się obcym towarem, artysta polski jest pozbawiony możliwości przemawiania do niego wprost zrozumiałym dla niego językiem, organizowania na polską modłę jego wyobraźni. A przecież, jak mówi Norwid: „Narodowy artysta or-

ganizuje wyobraźnię, jak, na przykład, polityk narodowy organizuje siły stanu”.

Sztuka religijna wogóle, nie tylko u nas, ale i wszędzie w Europie, jest obecnie w upadku. Wiele na tołożyło się powodów. Przedewszystkiem brak zapotrzebowania na nowe obrazy, ryciny i rzeźby religijne stoi na przeszkodzie dalszemu rozwojowi tej sztuki. Na zaspokojenie bieżących potrzeb wystarcza niestety naogół fabryczna tandeta, jakiej sporo znaleźć można w każdym handlu dewocjonaljów. Ci, którzy te obiekty nabywają, patrzą na cenę i na treść, na temat, nie zwracają najmniejszej uwagi na artystyczną formę, która wydaje się

im być czemś najzupełniej obojętnym i obcym. Toteż cały dosłownie nasz rynek zalany jest poprostu lichemi, więc bardzo tanimi, wyrobami. W najstarszych nawet, najbardziej czcigodnych naszych świątyniach, niemieckie oleodruki, tyrolskie figury i Stacje Męki Pańskiej, budzą częstokroć wprost odrazę.

Gdybyśmy choć posługiwali się artystycznymi reprodukcjami dzieł obcych, klasycznych (jak np. słynne „Medici - Drucke”), szlachetnymi i wiernymi kopiami czy odlewami cennych pod względem artystycznym rzeźbiarskich utworów (ileż mamy w Polsce oryginałów Stwoża!), ale i to

nawet nikomu u nas na myśl nie przyjdzie.

Cóż stąd, że Tekla Drzeworytów Ludowych, jaką zawdzięczamy Zygmuntowi Łazarskiemu, że liczne obrazy ludowe malowane na szkle, kapliczki przydrożne i figury Świątków stanowią niewyczerpaną kopalnię pomysłów w tej dziedzinie? Cóż stąd, że mieliśmy i mamy kompozycje religijne Matejki, Wyspiańskiego, Mehoffera, Debińskiego, że posiadamy szereg przepysznych rycin, na religijnych motywach osnutych, Władysława Skoczylasa, oraz dobrze zrazu zapowiadających się obrazów Roguskiego, że Kazimierz Sichulski stworzył wiele projektów i kartonów do witrażów i mozaik (z których pono do tej pory ani jeden nie został wykonany w materiale)? I co stąd, że kapliczka Szczepkowskiego odniosła na paryskiej wystawie triumf światowy, świadcząc dobitnie o umiejętności i oryginalności, narodowej pomysłowości naszych artystów?

Cóż wreszcie stąd, że mamy w Polsce przynajmniej gliny i drzewa podostatkiem, że obudziła się do życia nowoczesna polska ceramika, że zakopiańska Szkoła Przemysłu Drzewnego pod kierunkiem Karola Stryńskiego mogłaby już dziś podać najrozsądniejszym artystycznym zadaniem i ugruntować styl polski w odpowiedniej dziedzinie sztuki stosowanej?

Jakież pożytek mamy z tego, że ogłoszony kilka lat temu konkurs na obrazy religijne, celem masowej ich reprodukcji, przyniósł tak niespodziewanie ciekawe wyniki?

To wszystko nic nie znaczy. Istniejące religijne zabytki, kompozycje nowoczesne, są ogólnie szerszemu wogóle nieznane. Nikt ich nie reprodukuje w należytej formie, nikt ich nie rozpowszechnia. Z gotowych już projektów nikt nie zamierza korzystać. Kapliczka Szczepkowskiego stanie się zapewne okazem muzealnym w zagranicznych zbiorach, u nas bowiem nikt takiej nie zechce, nie zamówi; jego polscy Aniołowie Grajkowie przygrzywać będą jedynie obcom. O zapotrzebowaniu w Polsce na figury i płaskorzeźby z wypalanej gliny, z drzewa, nikt nigdy nie słyszał, chyba, że przygotowuje się jakaś wystawa. Na koncept masowego rozpowszechniania w całym kraju polskich obrazów i obrazków religijnych, nikt jeszcze nie wpadł; żadnej inicjatywy pod tym względem, ani ze strony rządu, ani też prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych.

A jednak, chociaż w Polsce sprawy artystycznej kultury nie należą do konieczności państwowych, wartości pomysłowe o naszej własnej sztuce religijnej; Choćby ze względu na interes ekonomiczny i na rozwój różnych gałęzi naszego przemysłu; a także ze względu na możliwość eksportu tego rodzaju przedmiotów zagranicę.

Może, skoro dotąd nikt inny o to nie dbał, nasi przemysłowcy zróżnicują interes własny i obdarzą nas jeszcze kiedyś „na Gwiazdkę” — polskim aniołem?

J. n. Parandowski

Mieczysław Tretor

WIZYTA U DAFNISA I CHLOE

Niniejszy feljton jest fragmentem z większej całości. Właśnie opracowuję moją podróż po Grecji, która odbyłem na wiosnę. Będzie z tego cała książka. — Autor.

...Wracając z Aten do Konstantynopola, po paromiesięcznym pobycie w Grecji, jednej rzeczy szczególnie żałowałem: że nie miałem sposobności odwiedzić wyspy Lesbos. Nie myślałem o Saponie ani o jej przewartościach uczenniczych, lecz o tej parze pastuszków, z którymi zżyłem się podczas pracy nad moim Longosa „Dafnism i Chloe”. Ale przypadek i to zdarzył.

Nazajutrz, po wyjeździe z Pireusu, obudziliśmy się, gdy było jeszcze szaro, ubrałem się i wyszedłem na pokład, aby się dowiedzieć, dlaczego nasz okręt stanął. Kapitan urzawszy mnie, podbiegł i oświadczył, że właśnie jesteśmy naprzeciw mojej wyspy i jeśli chcę mogę pojechać na kilka godzin razem z oficerem, który ma coś załatwić w Mitilini, stołecznym mieście Lesbos. Spuszczono łódź, zbiegliśmy przedko po mostku i odpyliśmy.

Świt srebrzył niebo u samej podstawy, tam, gdzie ono stykało się z morzem. Białosć wynikającego dnia zwołała się rozszerzała. Na perłowych wodach kładły się opalowe plamy, najpierw oddzielnie, później zaczęły się wzajemnie szukać, zbierać i zlewać ze sobą. Ciemne i fioletowe pręgi, które jeszcze tu i owdzie rozmięzły obszar morza na zacienione pola, znikły. Białawe krańce widokowego żółtki i polyskiwały, jak kość słoniana. Słońce wschodziło. Pierwsze promienie zrózowiły wodę i niebo, a następnie zmieniły je w potop czerwieni. Za chwilę Heljos wyjechał w całym majestacie na próg sklepienia, które opierało się na płowych zrebach azjatyckiego wybrzeża. Boskie dionie rozrzucały światło na wszystkie strony, jakby z każdego palca tryskały długie złote ognie. Zwycięzki bóg ścigał dalekimi strzałami uciekającą ciemność i ten zgrzybiały, zdawna już posiwiały, mrok oddawał skwapliwie skradziony morzu lazur, niebu błękit, wyspie, do której zdążyliśmy, zieloność. Powietrze stało się czyste, jak diament. Przestrzeń otwarła się swobodnie i szeroko. W takiej chwili

musiała ongiś dobić do tych brzegów głowa Orfeusza, przepłynąwszy na złotej harfie to morze eolskie, które samo dzwoni między skałami, jak cytra.

Z lekkim szmerem wioseł wsunęliśmy się do śpiącego portu, gdzie tartany lewantyjskie o trójkątnych żaglach, brzuchate łodzie i smukłe kaiki ociekały wilgocią, przegładając się w spokojnej wodzie. Umówiłem z oficerem godzinę powrotu i zaszyłem się w brudne, kręte uliczki, które wrychle skończyły się i zbiegły w jedną drogę, wychodzącą poza miasto.

Miałem dość czasu, nie wiedziałem dokąd iść, szedłem prosto. Co za rozkosz! Iść tak przez pola, przez trawy, przeskakiwać rowy, ścinać laską chwasty, pętając się u nóg, rwać liście z drzew, zwieszających się nad głową, rozgniatć kłosa zbóż, ocierających się z szelestem o uda, — iść przed siebie, dokąd oczy poniosą, pogwizdywać z nieoczekiwanej swobodą, gwarzyć ze samym sobą, bez obawy, że ktoś usłyszy, bo jedynym głosem jest echo własnych kroków. Ach! powietrze i przestrzeń. Wolna, jasna, przesiąknięta słońcem pustosz, której nieobjęte rozmiary rozszerza nasza ciekawość, której słodka cisza dzwoni biciem naszego serca. Nasze dusze umierają na krzyżu ramy okiennej, odgradzającej nas od świata melancholij wiecznych tychsamych widoków. Chcę poznać zapach wszystkich powiewów ziemi, chcę oczy wykapać we wszystkich widokach!

Wspiałem się za pobliską górę, dość wysoką. Było cicho i pusto. Nadleciała jaskółka. Ostro przecinała powietrze, w którym jej skrzydła zdawały się płynąć. Wzbiła się coraz wyżej, potem opadła, przemknęła nad przeciwległym wzgórzem i znikła. Ze szczytu wyniosłości widziałem niemal całą wyspę, zieloną i zmienną w swej fali pagórków i dolin. Była w niej jakaś kobieca uroda. Obniżała się i podnosiła stopniowo, nieznacznie, harmonijnie wzgórzami, okrągłymi, jak pierś. Doliny niezbyt głębokie wcinają się w puszyste ciało wyspy łańdami, w których wiatr zatrzymuje się, aby je dłużej pięścić. Pachnie lawenda i tymianek. Wśród jasnej zieleni ciemnie-

ją gaje pomarańczowe, przetrzięte białymi ścieżkami.

Stałem na łące, porosłej trawą gęstą, delikatną, jeszcze nieco wilgotną od rosy nocnej, prawdziwą trawą, jakiej dotychczas nie spotkałem w Grecji. Na niej rósł drzewo pomarańczowe, samo jedno, zagubione w tej pustce. Nagle spadła z jego gałęzi pomarańcza. Podniosłem ją i zacząłem obierać, myśląc, że od tysięcy lat bieg mojego i jej przeznaczenia uregulowano co do sekundy. Zdawało mi się, że wraz z sokiem doskonałego owocu syce się jakimś życiem ogromnie dobrem i słodkim, tem życiem sielanki, co rozkwitała tutaj, rodząc pastuszków, o duszach przezroczyście, w których widać, jak w szklanych ulach, układające się ciężkie złote plasty, ludzi, którzy w swoich izdebkach, wybielonych czystością myśli, ugaszczają bogów chlebem i winem, i którzy wśród wszystkich konstelacji niebieskich najrychlej i nieomylnie odnajdują gwiazdę betlejemską.

Po tamtej stronie drogi ciągnęła się winnica o latorośli, pełzającej nisko, na podobieństwo bluszczu. Nieco dalej, wśród paru drzew oliwnych, starych, bo miały pnie powykręcane i dziurawe, stał biały domek o niskich drzwiach i malutkich okienkach, obwieszonych szerokim szlakiem niebieskiej farby, biały domek o płaskim dachu. Na podwórzu przy studni kłębiła się dziewczynka, nie mogąc wydobyć ciężkiego wiadra. To była Chloe. A kiedy z głębi kotłiny, przesłoniętej pagórkami, usłyszałem świst, byłem pewny, że tam, ze stałem kóz, siedzi Dafnis, który za chwilę tu przyjdzie, aby pomóc swej małej przyjaciółce wyciągnąć wiadro. Najprostszym sposobem, bo trawa zielona, winnica, domkiem i tą dziewczynką u studni, starogrecka sielanka stwierdziła swą ciepłą, radosną prawdę. Był to jeden z owych momentów, których wiele przeżywałem w Grecji, — że oto dwa światy, dwie epoki, różne i dalekie, rozdzielone przepaścią czasu, witają się nagle uśmiechem porozumiewawczym w chwili przewidzianego, nieuniknionego spotkania.

J. n. Parandowski

NIEMA GWIAZD

Odpowiedź Artystce operowej

Wiem Szanowna Pani, że zdanie, wyrażone niedawno o gwiazdach, dotknęło cokolwiek artystów naszej opery, a w szczególności mogło być niemile pierwszym tenorom, którzy uważają się za coś więcej jeszcze niż gwiazdy, bo za słońca, dokoła których wszystko powinno krążyć. Wiem również, że chociaż Panj odmawia sobie tytułu gwiazdy z całą skromnością, to jednak nie może tak łatwo wyrzec się wspomnień swej pięknej niedawnej przeszłości, co zresztą jest i niemożliwe i niepotrzebne, bo tu chodzi o coś innego, a bynajmniej nie o znaczenie się nad ambicją śpiewaczką, chociażby nawet zbyt wygórowaną lub przesadną, tem mniej zaś o odmawianie zasług artystom.

Pisząc, że „niema dziś gwiazd lecz pozostał system”, miałem zamiar przypomnieć jak to dawniej w Warszawie bywało, że co chwila sprowadzano włoskiego śpiewaka, jakas sławę mniej lub więcej pierwszorzędną, wytworzono dokoła niego stosowną atmosferę, reklamowano i zachwalano, wskutek czego wyróbił się wśród publiczności kult dla gwiazd, mimo że znaczenia przywiązywanego do wyrażenia „star” nie było można przypisywać bezwzględnie każdej z tych osobistości. Naturalnie, że w ciągu lat musiała się wytworzyć głęboka wiara w autorytet słynnych firm zagranicznych i ta wiara pozostała podobnie jak pożądanie jakichś nadzwyczajnych wrażeń ze strony sztuki śpie-

wackiej. Nie odmawiając tej sztuce czaru, jaki niewątpliwie sama w sobie posiada, trudno się przecież zgodzić na zasadnicze podnoszenie wartości odtwórców ponad dzieło, które powinno pierwsze zajmować miejsce w każdej instytucji poświęconej sztuce.

System ten zwraca się w końcu zawsze przeciw śpiewakom. Gdy zajdą jakieś zmiany w głosie, w kunszcie wykonawczym czy też i w osobie artysty, publiczność odwraca się od ulubieńca swego i jeżeli nie jest w znaczeniu artystycznym dobrze wychowaną, to czyni to z całą bezwzględnością. Zupełnie inaczej dzieje się tam, gdzie ją nauczono cenić dzieło przedewszystkiem. Słuchacz operowy długoletni, zna swojego Mozarta, Beethovena, Wagnera, Rossiniego czy Verdiego, wie w czym ma szukać najgłębszych i najsilniejszych wrażeń i na zewnętrznie czysto głosowe efekty nie daje się brać tak łatwo. Śpiewakowi, który zrosł się z intencjami twórcy Don Juana, Fideleja, Tristana czy Cyrulika lub Aida, z jego stylem i tradycją, umie być wiernym i dochować mu tej wierności aż do chwili rozstawania się ze sceną.

Wyższa to zatem ranga być śpiewakiem zespołu poważnego prowadzonego artystycznie z myślą o wysokim zadaniu swoim, niż jako gwiazda okłaniać kilkanaściami partiami świat cały. Tylko bardzo wielkie, poszczególne, sceny światowe mogą sobie na to pozwalać, ażeby jak to w Metropolitan operachowe czynią, tworzyć z najsilniejszych, najlepszych artystów idea-

alny zespół pod batutą genialnego dyrygenta. Sceny mniejsze, racjonalnie mogą tylko w ten sposób postępować, że wytknąwszy sobie jasno i stanowczo jakiś cel określony, będą stosowne siły ściągać wcześniej, roztropnie i zapobiegliwie, aby przy długiej wyczerpującej pracy dojść do rezultatów jaknajdoskonalszych, słowem ażeby wielkim wysiłkiem energii stworzyć coś równie wysokiego a niejednokrotnie w znaczeniu całości jeszcze wyższego, niż zespół utworzony z fenomenalnych wprawdzie, lecz przygodnie nieraz zestawionych wykonawców.

Otóż w tej to myśli przedewszystkiem powiedziałem że „gwiazd niema”. Bo ich istotnie niema na świecie, w tej ilości jaka do niedawna jeszcze istniała. Kunszt śpiewacki upada, czemu reszta winna sztuka nowoczesna w charakterze swym instrumentalna do tego stopnia, że nawet głosy chce nałamać do swych wymagań, wskutek czego wartości dawniejsze, czysto wokalne, wirtuozowskie spadają w kurcie, nieraz nawet zupełnie niestrasnie i ze szkoda oczywista sztuki dawniejszej, której wyrzec się nie chcemy i nie możemy. Nawet gdybyśmy się zgodzili na „gwiazd”, to typ jej dzisiejszy jest już odmienny. Francisek Werfel w swej ciekawej i barwnej powieści „Verdi” opisuje taką wielkość nowoczesną. Jego Margerita Dezorzi to jakiś wytwór niezwykłej inteligencji, muzykalności i kultury, przeważnie duchowej, w którym głos zajmuje jedno z ostatnich miejsc. Staruszek Gritti pamiętający jeszcze Malibran i Pastę, powiada o niej: „Za moich czasów, nie

danoby jej na żadnej scenie zaśpiewać... ale tymczasem młodzież postepowa, „wagnerowska” otacza ją uwielbieniem.

Pojęcia się zmieniły. Ród „gwiazd” dawniejszych zanika. A my tymczasem systemu dawniejszego trzymamy się ciągle zawzięci. Czasem, przyjeżdżając do Warszawy jakaś wielkość, śpiewa w innym języku, co się z całą pewnością nie zgadza i jednolitość stylu, nieistniejąca u nas zresztą, na jeszcze większy naraża szwank. Zdarza się to na szczęście dość rzadko ale zato władze teatralne koniecznie usiłują wysuwać po dawnemu na pierwszy plan wartości osobiste śpiewaków i zdobywać nimi sukces kasowy; zachwalają je w notatkach w sposób niepraktykowany nigdzie w poważnych instytucjach zagranicą, zaniebują zaś natomiast operę, wewnątrz nie dopuszczając do przedstawień niedobalych nieprzygotowanych i dalekich od miary słusznie wymaganej przez krytykę.

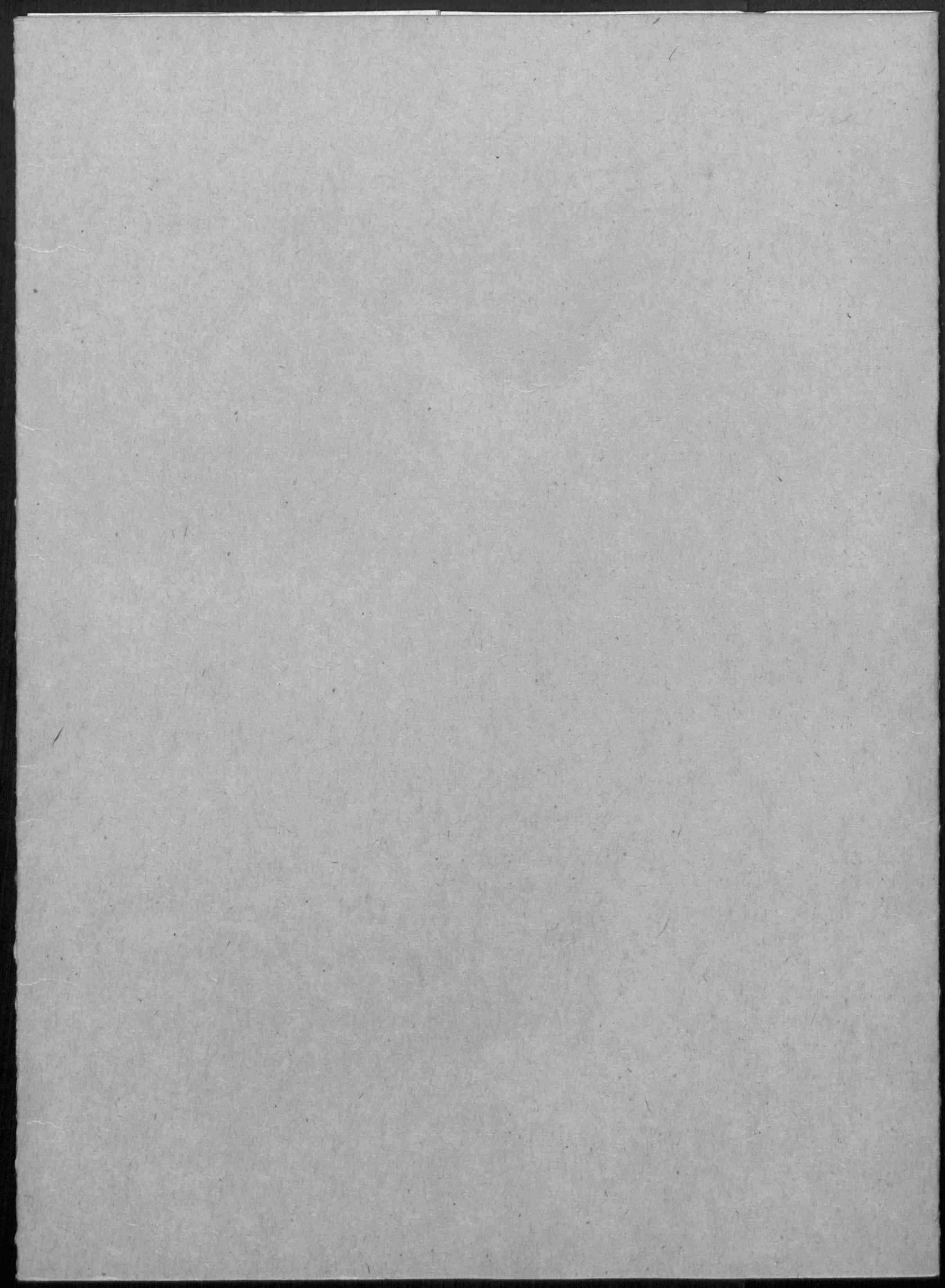
Troskliwa o los swej koleżanki pani Matyldy Polińskiej-Lewickiej dotąd niezaangażowanej, powie Szanowna Pani, że w tym wypadku nie dała dyrekcja dowodu dbałości o wybitne siły artystyczne. Zgadza się na to, ale wchodzi tu znowu w grę sprawy czyste osobiste niemal prywatne, które jeszcze ujemniejsze rzucają światło na wewnętrzne stosunki Opery warszawskiej. Wiednie prywaty, kalkulacje, intrygi, bez jakichkolwiek korzyści materialnych aż z widoczną szkoda artystycznych!...

Zgódźmy się więc na to, że gwiazd

niema i nie będzie ich już więcej. Ale tego niewolno nam się wyrzekać ażeby opera istniała na podstawach silniejszych niż dotychczasowe i przedewszystkiem — czystych. Zespół dzisiejszy w reku dzielnego, pracowitego kierownika, po uzupełnieniu zwłaszcza pewnych luk (artyści mający dobro instytucji na oku nie powinni się obawiać zdolnych sił młodszych jeżeli się pojawiają) może spełniać najpoważniejsze zadania, byle tylko nie zbrakło ani na chwilę wielkiego wspólnego dążenia do artystycznej całości, z pominięciem wszelkich aspiracji oddzielnych i wszelkich zadaleko idących przywilejów osobistych. Przy tego rodzaju dążeniach, wydatność pracy się zwiększy, jak również i wartość jej artystyczna. Gdy kiedyś dla kraju lepsze nastaną czasy, muszą zastać zespół operowy przygotowany odpowiednio. Od artystów bowiem zależy wiele. Działając wspólnie w jednym duchu, mogą oni również wpływ wywrzeć wielki na ukształtowanie się dalsze sprawy operowej i zapobiedz na przyszłość zupełnemu obniżeniu poziomu najpierwszej w kraju instytucji.

Mam nieplonne przekonanie, że po tem uzupełnieniu rzuconego niedawno zdania, nie będzie Szanowna Pani mieć do mnie żadnego żalu. Nic nie może być dalsze mej myśli w tym wypadku, jak lekceważenie kunsztu śpiewackiego lub postępowanie osób poświęcających jej talent swój i pracę. Zawsze i szczerze pragnąłbym im tylko wyrazi sympatji składać i czuć.

St. Niewiadomski



Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Krzemowa 1

62-002 Suchy Las

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

Wszelkie prawa producenta i właściciela zastrzeżone.

Kopiowanie, wypożyczenie, oraz publiczne odtwarzanie w całości lub we fragmentach zabronione.

All rights reserved. Unauthorized copying, reproduction, lending, public performance and broadcasting of the whole or fragments prohibited.

Оссолінські колекції.

CD – диск виконано в рамках угоди укладеної з квітня 2004 р. між Львівською науковою бібліотекою НАН України у Львові і Національним Закладом ім. Оссолінських у Вроцлаві.